

 Harlequin®

Romans
HistoryCENTRY



DIANE
GASTON

Zbuntowana kochanka

Diane Gaston

Zbuntowana kochanka

Tłumaczyła
Barbara Ert-Eberdt

Tytuł oryginału: Chivalrous Captain, Rebel Mistress

Pierwsze wydanie: Harlequin Historicals, 2010

Redaktor serii: Barbara Syczewska-Olszewska

Opracowanie redakcyjne: Zofia Tomza

Korekta: Marianna Chałupczak

© 2010 by Diane Perkins

© for the Polish edition by Arlekin – Wydawnictwo Harlequin Enterprises sp. z o.o., Warszawa 2011

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieła w jakiegokolwiek formie.

Wydanie niniejsze zostało opublikowane w porozumieniu z Harlequin Enterprises II B.V.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne.
Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych lub umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

Znak firmowy Wydawnictwa Harlequin i znak serii Harlequin Romans Historyczny są zastrzeżone.

Arlekin – Wydawnictwo Harlequin Enterprises sp. z o.o.
00-975 Warszawa, ul. Starościńska 1B lokal 24-25

Skład i łamanie: COMPTeX[®], Warszawa

ISBN 978-83-238-8240-4

ROMANS HISTORYCZNY – 329

Prolog

1812, Badajoz, Hiszpania

Stukot ciężkich wojskowych butów słychać było całkiem blisko. Porucznik Allan Landon czuł odór przepoconych i zaplamionych krwią mundurów. On i jego dowódca, kapitan Gabriel Deane, czekali w ukryciu, aż ogarnięty żądzą zniszczenia motłoch oddali się, by gdzie indziej plądrować i zabijać bezbronnych cywili.

Czy jest coś gorszego niż opanowana szalem mordy i destrukcji hałastry?

Za plecami maruderów, z podpalonego wysokiego kamiennego budynku tryskały fontanny ognia. W blasku płomieni migotały bagnety i pałki, którymi dobijano rannych. Allan patrzył oniemiały ze zgrozy. To nie był nieprzyjaciel, lecz jego rodacy, brytyjscy żołnierze, pozbawieni wszelkich ludzkich uczuć, wszelkich hamulców moralnych.

Po krwawym oblężeniu Badajoz, po utracie tysięcy towarzyszy, bez zastanowienia podchwycili plotkę, że Wellington zezwolił na trzy godziny bezkarnego plądrowania. Iskra wywołała pożar.

Maruderzy znikli, Allan i Gabriel Deane wyszli z ukrycia.

– Wellington powinien kazać ich powiesić – stwierdził Allan.

– Za wielu ich. Są potrzebni na wojnie z Francuzami – odparł Gabe.

Zaalarmował ich wystrzał z pistoletu, na szczęście zbyt odległy, by był groźny.

– Jeszcze nas pozabijają przez tego przekłętą Tranville’a – mruknął Gabe.

Chodziło o Edwina Tranville’a.

Do tego piekła wysłał ich ojciec Edwina, generał Lionel Tranville, albowiem syn, będący również jego adiutantem, gdzieś się zawieruszył. Allan i Deane mieli go znaleźć i bezpiecznie dostarczyć do obozu.

– Mamy rozkaz.

Allan wiedział, że brzmi to fatalistycznie, nawet w jego własnych uszach, ale czy mu się to podobało, czy nie, jego obowiązkiem było posłuszeństwo wobec zwierzchności. Niestety, ta rozpasana hałastra zapomniała, co to obowiązek.

Z bocznej uliczki wybiegli dwaj mężczyźni, ich buty głośno stukały o kamienny bruk. Z głębi sąsiedniej posesji dał się słyszeć krzyk kobiety: Nie!

Wołania przerażonych kobiet dochodziły zewsząd przez całą noc, Allan i Gabe byli jednak bezradni. Na ogół znajdowali się zbyt daleko, by interweniować. Tym razem krzyk dobiegał z bliska. Pobiegli w stronę zabudowań. Na wewnętrznym dziedzińcu spodziewali się ujrzeć ofiarę napaści.

Zamiast tego zobaczyli kobietę z nożem w ręku wymierzonym w plecy skomlącego o litość żołnierza w czerwonym brytyjskim mundurze.

Gabe rzucił się do przodu i wyrwał kobiecie nóż.

– Proszę tego nie robić, *señora*.

Żołnierz osłaniający zakrwawionymi dłońmi twarz próbował się podnieść.

– Chciała mnie zabić! – zawył i zwałił się ciężko na kupę kamieni.

Allan zauważył leżące obok w kałuży krwi ciało francuskiego żołnierza.

– *Señora* pójdzie z nami. – Deane chwycił kobietę za ramiona.

– Kapitanie. – Allan wskazał gestem leżące ciało.

– Zaczekajcie. – Z głębokiego cienia wyłonił się inny brytyjski żołnierz.

Allan odwrócił się gwałtownie z wymierzonym w niego pistoletem.

Przybyły uniósł w górę obie ręce.

– Jestem chorąży Vernon z pułku East Essex. On – wskazał leżącego twarzą do ziemi Brytyjczyka – chciał zabić chłopca i zgwałcić tę kobietę. Widziałem to. On i dwóch innych, którzy zbiegli.

– Jakiego chłopca? – Gabe rozejrzał się po dziedzińcu.

Coś poruszyło się w ciemnościach. Allan odruchowo znów gotów był wystrzelić.

– Nie strzelaj – powstrzymał go Vernon. – To właśnie ten chłopiec.

Deane, trzymając kobietę, zbliżył się do leżącego Brytyjczyka, którego nie zdążyła zadźgać. Nogą obrócił go twarzą do góry.

– Jezu, Landon, widzisz, kto to jest?

– Edwin Tranville – powiedział chorąży. – Syn generała Tranville’a.

Allan aż zagotował się ze złości. Znaleźli Edwina Tranville’a, ale nie był on ofiarą, lecz niedoszłym gwałcicielem i prawdopodobnie zabójcą. W oczach chorążego dostrzegł taką samą odrazę, jaka przepelniała i jego.

– Co tu się, u diabła, dzieje?

– Chciał udusić chłopaka, a ona stanęła w jego obronie z nożem w ręku. Jest pijany.

– Tatusiu! – Chłopiec, nie więcej niż dwunastoletni, padł na ciało zabitego Francuza.

– Nie dotykaj go, Claude! – krzyknęła po francusku kobieta.

– Do licha, to Francuzi. – Deane uklęknął obok zabitego, sprawdził puls. – On nie żyje.

Rodzina francuska uciekała z pogromu, domyślił się

Allan. Zabity próbował wyprowadzić żonę i syna w bezpieczne miejsce. Czy Tranville zabił Francuza na oczach chłopca i jego matki?

– *Mon mari* – powiedziała kobieta. Potwierdziła domysł Allana.

Gabe podszedł do Tranville'a, chciał go kopnąć, ale tego nie zrobił.

– On zabił Francuza? – zapytał chorążego.

– Tego nie widziałem. – Vernon potrząsnął głową.

– Cholera, co z nią zrobić? – Gabe spojrzął na kobietę. Jeszcze parę minut temu był gotów ją aresztować.

W pobliżu dały się słyszeć czyjeś kroki i krzyki.

– Musimy ich stąd wyprowadzić – stwierdził Gabe. – Landon, zabieraj Tranville'a do obozu. Chorąży, będę potrzebował waszej pomocy.

– Chyba nie zamierzasz jej oddawać w ręce sprawiedliwości – odezwał się Allan. – To Edwina należałoby postawić pod sąd.

– Jasne, że nie – rzucił Deane. – Mam zamiar znaleźć jej bezpieczną kryjówkę. Może w kościele. Albo jeszcze gdzie indziej. – Spojrzął na Allana i chorążego znacząco. – A o tym wszystkim cicho sza. Zrozumieliście?

Cicho sza? Allan nie mógł tego znieść.

– On powinien za to zawisnąć.

– Jest synem generała. Jeśli zameldujemy o jego zbrodni, generał sprawi, że to nam spadną głowy z karku, nie jemu. A jego zemsta prawdopodobnie osiągnie również kobiety i chłopaka. Ten łotr – Gabe spojrzął na skulonego na ziemi, jak dziecko, Tranville'a – jest pijany, może nawet nie uświadamia sobie, co zrobił.

– Stan upojenia alkoholowego go nie tłumaczy. – Allan nie mógł uwierzyć, że Gabe pozwoli Edwinowi ujść bez kary.

Nauczył się patrzeć przez palce, jak żołnierze z jego pododdziału opróżniają kieszenie zabitym Francuzom, przegry-

wają w kości ostatnie grosze ze skromnego żołdu i piją na umór. To londyńscy ulicznicy, dzikusy z odległych szkockich gór i nędzarze z Irlandii. Oficer, człowiek wykształcony i uprzywilejowany z racji pochodzenia, nie powinien unikać kary za to, czego dopuścił się tej nocy Edwin. Należało o tym zameldować i sprawić, by zawisł na szubienicy. Bez względu na okoliczności.

Kobieta pocieszała syna. Jego ramionami wstrząsał szloch. Allan bez wahania nadstawiłby własny kark, byle sprawiedliwości stało się zadość, ale nie miał prawa karać dodatkowo tych dwoje.

– W porządku. Nie puścimy pary z gęby.

– Chorąży, wy też obiecujecie? – zapytał Gabe.

Przy akompaniamencie trzasku tłuczonego szkła zapadł się dach płonącego budynku. W niebo wzbił się wysoko gejzer iskier.

Allan posadził Edwina, potem zarzucił go sobie na ramię.

– Trzymaj się – rzekł do niego Gabe.

Skinąwszy głowę, Allan podążył w kierunku obozu. Niemal miał nadzieję, że natkną się na wałęsających się maruderów, co mogłoby oznaczać koniec Edwina Tranville'a, ale ta część miasta była już gruntownie splądrowana i zdemoralizowane bandy przeniosły się dalej. Allan zaniósł Edwina do miejsca, gdzie biwakował pułk Królewskiej Piechoty Szkockiej. Odnalazł kwatery generała, zapukał. Otworzył ordynans. Z wnętrza buchnął zapach pieczonego mięsa.

– Mam go.

Generał wstał z fotela. Spod brody zwisała mu serwetka.

– Co to ma znaczyć? Co mu się stało?

Allan zacisnął zęby, zanim odpowiedział:

– W takim stanie go znaleźliśmy.

Rzucił Edwina na posłanie w rogu. Dopiero wtedy zauważył, że jego policzek jest rozcięty od ucha aż po kącik ust.

– On jest ranny! – zawołał przejęty generał. – Szybko!

Chirurga! – Pochylił się nad pijanym synem. – Nie wiedziałem, że został ranny w bitwie.

Rana była świeża, nie mogła pochodzić z bitwy. Allan mógł się założyć, że generał również doskonale o tym wie.

Edwin Tranville będzie miał widoczną pamiątkę po tej nocy. Przynajmniej nie ominie go choć taka kara za jego zbrodnię. Teraz jęczał i kulił się. Bardziej przypominał dziecko niż mordercę i gwałciciela.

Generał chodził tam i z powrotem po kwaterze. Allan miał nadzieję, że usłyszy rozkaz do odejścia i że nie będzie musiał tłumaczyć się i podawać szczegółów.

Wydawało się, że generał jest pogrążony w rozmyślniach. Nagle zatrzymał się tuż przed Allanem.

– Został ranny podczas oblężenia. Jestem tego pewien. Właściwie nie powinien uczestniczyć w walkach. Przypuszczam, że nie mógł się powstrzymać. – Znowu zaczął krząć po pokoju.

Stara się sam siebie przekonać, pomyślał Allan.

– Został ranny podczas oblężenia. – Generał spojrzał wymownie na Allana. – Zrozumiano?

Allan zrozumiał. Generał spodziewał się, że taką wersję będzie rozpowszechniał.

– Tak jest, zrozumiałem.

Przypomniała mu się łacińska sentencja, której uczył się w szkole. Kto to powiedział, Tacyt? A może ktoś inny? Cel uświęca środki.

Zadrżał. Ukrywanie łotra, jakim był Edwin Tranville, nie mogło być niczym chwalebnym, był tego pewien, ale dał słowo kapitanowi. Na dodatek od dotrzymania danego słowa zależał los kilkorga ludzi. To ważniejsze niż zdemaskowanie Edwina Tranville'a.

Rozdział pierwszy

18 lipca 1815 roku, Waterloo

Brakowało jej tchu, nie czuła nóg. Marian Pallant uciekała, jakby gonił ją sam diabeł.

Może tak i było, jeśli diabeł nazywa się Napoleon Bonaparte. Napoleon zbiegł z Elby i forsownym marszem zmierzał prosto pod Waterloo, gdzie czekał na niego Wellington. Marian znalazła się pomiędzy dwiema wrogimi potęgami.

Za plecami słyszała strzały karabinowe, szuranie tysięcy butów na grząskim gruncie i francuskie werble rytmicznie wybijające marszowy rytm. Gdzieś z przodu znajdowali się Brytyjczycy.

Taką przynajmniej miała nadzieję.

Grzęzła w ziemi rozmięklej po całonocnym ulewnym deszczu. Dojrzałe żyto siekło jej ręce i nogi. W oddali rysowały się jakieś zabudowania, tam się kierowała. W najgorszym razie tam się ukryje.

Zaledwie trzy dni temu ona i Domina tańczyły na balu księżnej Richmond. Wellington przyniósł wówczas wiadomość o podchodzącej pod Brukselę armii Napoleona. Oficerowie zaczęli pospiesznie opuszczać salę balową. Żegnając się z ukochanym, porucznikiem Harrym Oliverem, Domina dowiedziała się, że jeśli sprzymierzonym nie uda się zatrzymać nieprzyjaciela w miejscu zwanym Quatre Bras, książę Wellington zamierza postawić ostatnią tamę przed zajęciem

przez Francuzów Brukseli w pobliżu Waterloo. Przyjaciółka dwa dni prosiła Marian, by pojechała z nią szukać pułku Olliego, ponieważ bardzo chciała zobaczyć bitwę i być w pobliżu na wypadek, gdyby ukochany jej potrzebował.

Marian ustąpiła wreszcie, ale tylko dlatego, żeby Domina nie wybrała się na tę eskapadę sama. To ona wymyśliła, żeby przebrać się w ubranie jej brata. Wzięły też jego konia. Przez wiele godzin kluczyły w ciemnościach i siąpiącym deszczu, aż kompletnie się pogubiły. W końcu usłyszały ludzkie głosy.

Ci ludzie rozmawiali po francusku.

Domina spanikowała. Gwałtownie kopnęła konia do galopu. Zaskoczona Marian spadła na ziemię. Uderzyła się boleśnie, ale bała się krzyżeć, żeby Francuzi jej nie usłyszeli. Bezradnie patrzyła, jak Domina i koń znikają w ciemnościach i strugach deszczu. Schroniła się pod najbliższym drzewem i pocieszała się, że przyjaciółka po nią wróci.

Nie wróciła.

Marian doczekała do rana, przerażona, że Domina mogła wpaść w ręce Francuzów. Jak Francuzi obejdą się z angielską dziewczyną? Gdy nastał dzień, przestała się martwić o Dominę, musiała bowiem zatroszczyć się o siebie. Francuzi maszerowali prosto w jej stronę.

Położona niedaleko posiadłość dawała jedyną nadzieję na bezpieczne schronienie.

Zabudowania stały na częściowo zadrzewionym terenie, żeby jednak do nich dotrzeć, trzeba było pokonać otwarte pole porośnięte żytem. Po przejściu żołnierzy prawie dojrzałe zboże będzie stratowane, ale teraz wysokie pędy skutecznie kryły Marian przed Francuzami.

Byli coraz bliżej.

Potknęła się o zagłębienie w gruncie i upadła. Leżała z policzkiem na chłodnej, wilgotnej ziemi, zbyt zmęczona, by wstać. Nagle obudziła się jej czujność. Nie było wątpliwości: to, co słyszała, to był tętent kopyt końskich.

Domina?

Próbowała poderwać się na nogi.

Za późno. Parskający rumak, o wiele większy od konia Dominy, najeżdżał prosto na nią. Chciała odskoczyć, ale się poślizgnęła. Przerazona, zasłoniła twarz dłońmi. Zaraz zostanie stratowana.

Silna ręka chwyciła ją za kołnierz i uniosła na siodło, jakby była piórkiem.

– Hej, chłopcze, co porabiasz na tym polu?

Zapytał po angielsku. Chwała Bogu!

Marian otworzyła oczy. Błysnął czerwony mundur.

– Chcę się dostać tam. – Wskazała otoczone murem zabudowania.

– Jesteś Anglikiem? Ja też tam zmierzam – wyjaśnił jeździec. – To Hougoumont.

Tak nazywała się ta posiadłość? Marian było wszystko jedno. Była szczęśliwa, że nie musi już iść i że spotkała żołnierza brytyjskiego, a nie francuskiego.

Koń szybko dotarł do kępy drzew. Z ich liści ściekały krople nagromadzonej w czasie deszczu wilgoci. Jakaś niższa gałąź zerwała czapkę z głowy Marian i ukryte pod nią długie blond włosy rozsypały się na plecy.

– Jesteś kobietą! – Żołnierz ściągnął wodze, osadził konia w miejscu. – Do diabła, co tu robisz?

Marian odwróciła się, żeby mu się przyjrzeć. Przeraziła się. Już go kiedyś spotkała. Obie z Dominą żartowały sobie z tego wysokiego i przystojnego oficera, którego szpiegowaly na spacerze w parku miejskim w Brukseli. Miał wyrazistą twarz, zdecydowanie zarysowany łuk ust, przenikliwe orzechowe oczy.

– Zgubiłam się – powiedziała.

– Nie widzisz, że tu za chwilę dojdzie do bitwy?

Nie miała zamiaru podejmować tematu.

– Szukałam bezpiecznej kryjówki.

– Tu nigdzie nie jest bezpiecznie.

Zamiast kierować się w stronę zabudowań, zawrócił po wiszącą na gałęzi, jakby powieszoną na kołku na drzwiach do szopy w ogrodzie czapkę. Zerwał ją i podał Marian.

– Wkładaj – polecił. – Lepiej, żeby nikt nie zobaczył, że jesteś kobietą.

Miał ją za głupią? Upięła włosy najstaranniej, jak potrafiła, i naciągnęła czapkę na uszy. Tymczasem zagajnik zaczęli zajmować francuscy żołnierze. Obok ucha Marian świsnęła kula z karabinu.

Oficer puścił konia galopem. Mijane drzewa tworzyły brązowozieloną masę.

– Kapitan Landon z meldunkiem dla pułkownika Mac-Donnella – oznajmił na posterunku w bramie Hougoumont.

Nazywa się kapitan Landon, czujnie odnotowała w pamięci Marian.

Otwarto bramę.

– Francuzi są już w zagajniku – poinformował kapitan posterunkowych.

– Widzimy – odparł dowódca posterunku, wskazując na żołnierzy zajmujących pozycje strzeleckie przy furtkach. W bramie wyminał ich oddział, który miał najwidoczniej odbyć potyczkę z Francuzami w zagajniku.

Pułkownik krążył po podwórzu, doglądając ludzi i wydając ostatnie rozkazy podkomendnym. Część z nich była w czerwonych, brytyjskich mundurach, część – w zielonych, obcych.

– Trzymaj się mnie – nakazał Marian kapitan.

Zeskoczył z konia, pomógł jej zsiąść, po czym złapał ją za rękę. Nie puszczał jej, jakby się bał, że mu ucieknie. Nawet wtedy gdy wręczał meldunek pułkownikowi i czekał, aż ten skończy go czytać.

– Zobaczymy, co zamierzają te żabojady – rzekł pułkownik, składając przeczytany meldunek. – Potem posłę was z odpowiedzią. Co to za jeden? – Wskazał na Marian.

– Mały Anglik, który zgubił drogę.

– Jesteś w wojsku, chłopcze? – MacDonnell spojrział podejrzliwie na Marian.

– Nie, panie pułkowniku – odpowiedziała jak najgrubszym głosem. – Jestem z Brukseli. Chciałem zobaczyć bitwę.

Pułkownik roześmiał się.

– No to ją zobaczysz. Jak się nazywasz?

Marian wpadła w panikę. Jakie podać nazwisko i je zapamiętać, żeby w przyszłości nie dać się zaskoczyć.

– Fenton – odezwała się w końcu. – Marian Fenton.

Marian mogło być imieniem zarówno żeńskim, jak i męskim, a Fenton było nazwiskiem Dominy. Gdyby, nie daj Boże, spotkało ją coś złego, ktoś mógłby powiadomić o tym rodzinę Dominy. Nikt inny nie wiedział o pobycie Marian w Brukseli.

– Po bitwie wrócę po niego i dopilnuję, żeby dotarł do bliskich – odezwał się kapitan Landon. – Gdzie mógłbym go tymczasem zostawić?

Pułkownik wskazał głową wielki budynek z czerwonej cegły.

– Proszę spróbować w *château*. Może tam znajdzie się jakiś kąt.

Kapitan odprowadził Marian do zamku. W wielkim holu i przylegających salach pełno było żołnierzy w zielonych mundurach.

– Dlaczego oni są ubrani na zielono? – zapytała szeptem.

– To Niemcy. Z Nassau.

Marian odniosła wrażenie, że żołnierze są wystraszeni. Byli bardzo młodzi, na pewno młodsi od niej, a ona miała prawie dwadzieścia lat.

– Anglik – powiedział kapitan do żołnierzy, wskazując na Marian. – Anglik – powtórzył.

– Mówię po angielsku. – Podeszedł do nich niemiecki oficer.

– Ten młodzieniec się zgubił. Musi przeczekać bitwę – poinformował go kapitan Landon.

– Niech tu zostanie, byle trzymał się z dala od okna – odpowiedział oficer. Mówił z silnym niemieckim akcentem.

Kapitan Landon poprowadził Marian w głąb domu. Szuka pokoju bez okien, pomyślała.

– Dam sobie radę, kapitanie – powiedziała. – Niech pan wraca do swoich obowiązków.

– Musimy porozmawiać – odparł cicho.

Przeszli do sali, która musiała być reprezentacyjnym salonem. Meble były osłonięte białymi pokrowcami. Kapitan wyniósł jeden z foteli do holu.

– Tu będzie, jak sądzę, najbezpieczniej. – Nakazał jej gestem, by usiadła.

Uczyliła to z ulgą. Stopy piekły ją niemiłosiernie, musiała w mokrych butach poobcierać skórę.

Patrzył na nią z góry, wsparł ręce pod boki.

– Teraz mów prawdę. Kim jesteś i co, u licha, robisz na polu bitwy?

Zdjęła czapkę, uwolniła włosy.

– Nazywam się Marian Pallant.

– Nie Fenton?

Plotła włosy w warkocz. Obserwował ją, jak to robi.

– Podałam to nazwisko na wszelki wypadek, gdyby coś mi się przytrafiło. Byłyśmy we dwie z przyjaciółką, Domina Fenton, ale zgubiłyśmy się w ciemnościach.

– Byłyście we dwie? Co wam strzeliło do głowy?

Upięta warkocz na czubku głowy.

– Domina jest córką sir Rogera Fentona. Zaręczyła się sekretnie z pewnym oficerem i chciała być blisko niego podczas bitwy. – Marian zdawała sobie teraz sprawę z tego, jak głupio to brzmi. – Nie chciałam jej puścić samej.

– Jesteście pannami z dobrych domów?

– Oczywiście, że tak. – Marian nie podobał się ton powątpiewania w głosie kapitana.

– Porządne panny nie włączą się po nocy w męskim przebraniu.

Ponownie nakryła głowę czapką.

– Chyba lepiej w takim przebraniu niż w sukniach.

– Przyznam, że w tej materii ma pani rację.

– Martwię się o Dominę. Zgadzam się z panem, że to był głupi pomysł – przyznała ze skruczą. – Zabłądziłyśmy i nasz koń nieomal doprowadził nas do francuskiego obozu. Spadłam z siodła, gdy stamtąd uciekałyśmy. Nie mam pojęcia, co się stało z Dominą.

Słuchał, przesywając ją tymi swoimi przenikliwymi, orzechowymi oczami.

– Na pewno pani rodzice i rodzice Dominy martwią się o was.

– Moi rodzice od dawna nie żyją. – Uśmiechnęła się blade.

Allan Landon ciężko westchnął. Marian Pallant wcale nie przypominała w tej chwili chłopaka. Miał przed sobą delikatną i piękną istotę. Chociaż włosy skrywała czapka, nie mógł zapomnieć chwili, kiedy jasne loki otuliły jej twarz jak złota aureola.

– Pani rodzice nie żyją? – powtórzył machinalnie.

– Zmarli w Indiach, gdy miałam dziewięć lat.

Zauważył lekkie drżenie w jej głosie, mimo że starała się nie ujawniać emocji. To znowu mu przypomniało, że była piękną, młodą kobietą, próbującą robić dobrą minę do złej gry.

– Sir Roger Fenton jest pani prawnym opiekunem?

– Nie. – Uciekła wzrokiem. – Mój opiekun nie interesuje się mną. Troskę o mnie pozostawił swojemu plenipotentowi, który wie, że jestem gościem Fentonów. Wychodzi na to, że jestem niejako pod opieką ojca Dominy. Powinnam wyperswadować Dominie tę eskapadę, zamiast wyprawiać się z nią. Bardzo się o nią boję.

Bardziej się martwi o przyjaciółkę niż o siebie, zauważył Landon. Niestety, nie mógł powiedzieć jej niczego pocieszającego. Francuzi nie cackali się z jeńcami, zwłaszcza

z kobietami. Allan również dobrze pamiętał przypadek podobnej brutalności ze strony Brytyjczyków.

– Mam nadzieję, że Fentonowie martwią się o was obie. Pokiwała głową. Wydawała się skruszona.

Poczuł do niej przypływ sympatii, choć nie zapominał, że obecną sytuację zawdzięczała własnej lekkomyślności.

– Czy jest ktoś, kto martwi się o pana, kapitanie? – Utkwiła w nim spojrzenie niebieskich oczu.

Jego myśli przeskoczyły od matki do starszego brata, gospodarującego w rodzinnym majątku w Nottinghamshire, i pobiegły prosto do ojca. Ojciec był taki dumny, że ma syna w mundurze, cieszyłby się z jego awansu z porucznika na kapitana i jego dokonań na polu bitwy.

Ojciec Allana nie żył od czterech lat. Zginął w tragicznych okolicznościach. Nie dane mu było ani cieszyć się ze zwycięstw bitewnych syna, ani drżeć o jego życie, gdy wisiało na włosku.

– Tak trudno panu wymienić kogoś, kto się o pana martwi? – Uniosła wysoko brwi.

– Na pewno martwią się o mnie matka i brat.

Spojrzała pytająco, co sprawiło, że zaczął się bać, czy nie odkrył się zanadto. Nie chciał okazywać, jak boleśnie odczuwał śmierć ojca.

– Musi być im ciężko – stwierdziła.

Czy istotnie było im ciężko? Zawsze myślał, że przywykli do jego nieobecności w domu. Nie było go dłużej niż ojca.

Usłyszeli jakieś komendy po niemiecku, szuranie butami, kakofonię męskich głosów. Allan domyślił się, że Francuzi podeszli blisko.

– Co to znaczy? – spytała niemal bezgłośnie.

– Podejrzewam, że Niemcy dostali rozkaz opuszczenia *château*. To wszystko.

Spojrzała jak lis zapędzony do pułapki.

– To nie wróży nic dobrego. Żałuję, że nie zostałam

w Brukseli. Moja skrucha przychodzi chyba poniewczasie, prawda?

– Mój ojciec miał zwyczaj powiadać, że lepiej późno niż wcale.

Zorientował się, że sam przywołał temat, którego chciał uniknąć.

– Mądry człowiek, ten pański ojciec.

– Był mądry.

– Nie żyje?

– Został zabity. – Odchrząknął. – Słyszała pani chyba o zamieszkach wywołanych kilka lat temu w Nottinghamshire przez luddystów.

Przytaknęła.

– Ojciec był sędzią. Buntownicy włamali się do naszego domu i zabili go.

– Straszne.

Szczęknęły karabiny, rozległy się krzyki żołnierzy. Rozpoczęło się oblężenie.

– Francuzi atakują? – Marian pobladła.

– Tak. A ja muszę iść. – Opuszczał ją niechętnie. – Proszę tu zostać. Tu będzie bezpiecznie. Wrócę po bitwie. Jeśli dopisze nam szczęście, znajdzie się pani z powrotem w Brukseli. Może nikt nie dowie się o tej eskapadzie i pani reputacja nie ucierpi.

– Moja reputacja! – Zaśmiała się. – Jakże niewiele znaczy w tej chwili. – Spojrzała na niego z troską. – Będzie pan na siebie uważał, kapitanie?

Allan pomyślał, że te błyszczące, niebieskie oczy będą mu towarzyszyły przez całą bitwę.

– Proszę się o mnie nie martwić. Muszę już iść.

– Tak, to prawda.

– Wrócę po panią. – Obiecywał to nie tyle jej, co sobie. Wyciągnęła do niego dłoń. Przytrzymał ją w swojej.

– Z Bogiem – szepnęła.

Allan zostawił Marian w holu. Wracał tą samą drogą,

którą tu razem przyszli, zły na nią, że tak lekkomyślnie wystawiła się na niebezpieczeństwo, a jeszcze bardziej zły na siebie, że nie może wyciągnąć jej z opresji.

Miał swoje obowiązki i rozkazy, które musiał wypełniać.

Jego zadaniem było utrzymanie podczas bitwy łączności między generałami Tranville'em a Pictonem. Mieli działać w parze z Edwinem Tranville'em, synem generała, nosić te same meldunki, żeby zwiększyć szansę doręczenia ich adresatowi. Gdyby jeden z nich został zabity, pozostawał drugi. Niestety, zaraz po otrzymaniu do ręki pierwszego meldunku Edwin zaginął, prawdopodobnie ukrył się gdzieś bezpiecznie.

Edwin wielokrotnie dekował się podczas bitew na Półwyspie Pirenejskim. Potem odnajdywał się, podając jakieś absurdalne wyjaśnienia swojego zaginięcia. Również tym razem jego tchórzostwo oznaczało, że tylko na Allanie spoczywała odpowiedzialność za utrzymanie łączności między obu dowódcami.

Od tego mógł zależeć wynik bitwy.

Nie miał wyboru. Musiał zostawić pannę Pallant w Hougoumont, które mogło okazać się najbardziej niebezpiecznym miejscem w trakcie całej bitwy. Francuzi będą atakowali, żeby przebić się na prawą flankę Wellingtona, a Wellington wydał rozkaz utrzymania Hougoumont bez względu na cenę.

Wciąż prześladowało go spojrzenie jasnych, niebieskich oczu panny Pallant. Był pod urokiem jej delikatności i odwagi. Jakże chętnie zostałby, żeby jej bronić.

Jego żołnierska natura nie pozwalała na to.

Byłoby inaczej, gdyby nie Edwin. Gdyby ten drań miał choć połowę odwagi panny Pallant, gdyby można mu było zaufać, że nie zawiedzie jako łącznik, Allan mógłby prosić o zwolnienie z obowiązków i odwieźć ją do Brukseli.

Pod zamkiem zatrzymał brytyjskiego gwardzistę z pułku broniącego Hougoumont.

– Jak wygląda sytuacja?

– Nasi zostali zmuszeni do wycofania się z zagajnika. Nieprzyjaciel jest blisko.

Allan podbiegł do muru, wyrztał przez furtkę. Rozstawiona na murze piechota ładowała broń.

Zagajnik roił się od niebieskich mundurów Francuzów, ich kremowe spodnie były poplamione błotem. Gdy wyszli na otwartą przestrzeń, Brytyjczycy ogniem z muru odrzucili ich z powrotem między drzewa. Ciała zabitych i rannych zaścieliły trawę.

Allan odszukał pułkownika MacDonnella. Dowódca stał w oknie na piętrze budynku mieszkalnego, skąd miał doskonały widok na to, co działo się niżej.

Liczba atakujących i padających żołnierzy francuskich była zdumiewająca. Nieprzyjacielskim pułkiem dowodził książę Hieronim, brat Napoleona. Mury dawały jednak obrońcom doskonałą osłonę, Francuzi zaś walczyli na otwartym polu.

– Jak mogę się przydać, pułkowniku? – zwrócił się Allan do MacDonnella.

– Moi ludzie radzą sobie. Dziękuję.

Allanowi nie wypadało siedzieć i patrzeć. Wrócił na podwórze i rozejrzał się, gdzie obrona została nadwątlona. Jakiś żołnierz dostał właśnie kulę w czoło i spadł z muru. W tym miejscu pojawiła się drabina, a na niej Francuzi.

Allan chwycił karabin, woreczek z prochem i amunicją poległego i zajął jego miejsce.

– Patrzcie! – krzyknął najbliższej stojący gwardzista. – Kapitan umie ładować broń i strzelać.

Jego towarzysze złośliwie zarechotali. Wkrótce jednak zapomnieli o nim, gdyż pod murem pojawiła się nowa fala atakujących niebieskich mundurów.

– Wycofują się – zauważył wreszcie ktoś.

Rzeczywiście, Francuzi odstępowali od muru, jak odpływ morski od brzegu.

Allan odłożył muszkiet i zszedł z muru. Przy stajniach spotkał MacDonnella.

– Proszę zanieść meldunek Wellingtonowi, że odparliśmy atak, ale jeśli zaatakują ponownie, będziemy potrzebowali uzupełnienia amunicji – powiedział pułkownik.

Żołnierz przyprowadził Allanowi konia.

– Zatem jadę z meldunkiem. – Nie wiedział, jak wyrazić to, na czym mu najbardziej zależało, dodał więc: – Chłopak jest w *château*, niech pan z łaski swojej przydzieli kogoś do jego pilnowania.

MacDonnell skinął głową, ale nie zdążył nic odpowiedzieć, bo nagle wezwał go inny oficer.

Allan musiał odjechać, nie mając żadnej gwarancji, że pułkownik będzie pamiętał o obecności chłopaka, w którego ubraniu kryła się piękna Marian Pallant.

Rozdział drugi

Krzyki żołnierzy i wystrzały z karabinów sygnalizowały początek nowego ataku. Marian otworzyła oczy, otrząsnęła się ze snu. W czasie względnej ciszy zmęczenie wzięło górę i nie oparła się ogarniającej ją senności.

Było jasne, że Francuzi znowu szturmują. Wydawało się, że jest chyba groźniej niż poprzednio. Zewsząd dobiegały jęki rannych i kwiczenie koni.

Czy kapitanowi udało się przedrzeć przez okrążenie? Podczas pierwszego szturmu każdy strzał wywoływał strach o jego życie, teraz te obawy ożyły. Nie było go. Albo dotarł do linii brytyjskich, albo...

On musi przeżyć! Myśl, że mógłby zginąć, doprowadzała ją do rozpacz.

Poczuła się nagle jak w więzieniu. Hol dawał względnie bezpieczne schronienie, ale każdy strzał, każdy krzyk trafionego żołnierza był jak cios nożem w serce. Nie mogła znieść zamknięcia. Nie mogła siedzieć bezużytecznie, gdy na zewnątrz umierali ludzie.

Na pewno mogłaby się jakoś przydać. Obiecała co prawda kapitanowi Landonowi, że nie opuści holu, ale przecież nie było go, żeby jej tego zakazać.

Przeszła do przylegającej sali. Zielone mundury znikły. Obok niej przebiegło kilku gwardzistów. Odgłosy bitwy były tu intensywniejsze niż w jej dotychczasowym schronieniu.

Drzwi wejściowe rozwarły się i ukazali się w nich dwaj